

TO JEST RZEŹNIA, A NIE SZKÓŁKA

MAMA CHCIAŁA, ŻEBY ZOSTAŁ KSIĘDZEM. ON JEDNAK NIE CHCIAŁ, BO INTERESOWAŁY GO DZIEWCZYN. PRZYNAJE, ŻE NIE TĘSJNI ZA ROLAMI W FILMIE, I OPOWIADA, DLACZEGO — BĘDĄC J UŻ NA ETACIE W TEATRZE — NA WŁASNĄ PROŚBĘ POSZEDŁ DO WOJSKA.

Z Tadeuszem Borowskim, aktorem, rozmawia Mateusz Przyborowski



— Nawiązując do spektaklu „Dziewice i mężatki”, w którym pan gra, to zawsze pan poszukiwał kobiet czy kobiety pana?
— Jakby to powiedzieć... W młodości to raczej ja, teraz jest odwrotnie (śmiej). Jestem jak stare wino.
— Kobiety w sztuce Moliera, mimo że nie chcą, są strasznie samotne.
— To jest tak, że kobiety zaczynają się emancypować i ta emancypacja przerasta ich możliwości. Godzinna sztuka w reżyserii Janusza Wiśniewskiego jest w ogóle artystycznie ciekawa. Janusz naprawdę wysoko postawił nam poprzeczkę. A jeśli chodzi o kobiety, mam w tym spektaklu bardzo ciekawe zadanie.
— Właśnie, gra pan złego ducha pisarki ezoterycznej.
— Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle (śmiej). Bardzo chciałem zagrać w tej sztuce i Wiśniewski się zgodził, ale pod jednym warunkiem — że zagram babę. To diabeł, który wciela się w kobietę i mnie najbardziej śmieszy to, że dość nieudolnie tę kobietę gram.
— Nieudolnie?
— Nie zawsze sztuką jest dobrze grać, ale czasami sztuką jest grać nieudolnie.
— Wcześniej zdarzyło się panu zagrać kobietę?
— Pierwszy raz.
— To późno, tym bardziej że premiera tej sztuki odbyła się w ubiegłym roku.
— A dokładnie pod koniec grudnia. Może dlatego, że w końcu dojrzałem do tego, żeby poznać psychikę kobiety? Chociaż ta kobieta jest udawana przez diabła.
— Grażyna Zielińska, z którą niedawno rozmawiałem, 15 lat temu stwierdziła, że to tandeta, żeby baba chłopca grała. A zmarły w czwartek Andrzej Kopiczyński podkreślał, że aktor jest od tego, żeby grać wszystko.
— Dobry aktor i kolek w płocie zagra, i Hamleta. Bardzo lubię dobre epizody, bo w pewnym wieku ciągnięcie głównych ról jest męczące. Aktor po pięćdziesiątce nie powinien się brać za króla Leara, który jest jedną z bardziej wysiłkowych ról. To samo powiedział przecież Jurek Trela, któremu ją zaproponowano, a był już po sześćdziesiątce.

Podziękował, ale odmówił. Z królem Learem dobrze sobie radził natomiast Daniel Olbrychski, ale był wtedy w granicach 50 lat.
— Jednak w serialu „Aż po sufit!” z 2015 roku był pan bardzo aktywny.
— To prawda. Ten serial był adaptacją australijskiej produkcji. W Australii był nagrywany kilka lat, w Polsce zszedł z ekranu po pierwszym sezonie. Tak sobie myślę, że telewizyjni są przyzwyczajeni do tego, żeby było pif-paf i trup wszędzie. Natomiast pewna normalność i problemy ludzi bez rewolweru już jej nie interesują. Uważam, że serial „Ojciec Mateusz” w wykonaniu naszych aktorów jest znakomity. Ale jest wątek kryminalny i to ludzi przyciąga. A to, że ojciec chce popełnić samobójstwo, bo mu żona zmarła, średnio już ludzi interesuje.
— Zadebiutował pan w filmie „Banda” w reżyserii Zbigniewa Kuźmińskiego...
— ...to bardziej było statystowanie niż granie. Prawdziwy debiut miałem w „Kardiogramie” (z 1971 r. — red.) w reżyserii Romana Załuskiego. Byłem już siedem lat po szkole teatralnej i mogę opowiedzieć śmieszna ciekawostkę. Przez siedem lat grałem właściwie tylko w teatrze. Załuski mówi do mnie: „Ty prawdziwy jesteś w tym, co robisz, tylko zbyt wyraźnie mówisz. Musisz, k..., trochę zacierać, żeby to było bardziej ludzkie”. Wie pan, wcześniej była moda na aktorstwo Cybulskiego, który był szalenie naturalny, ale nie zawsze można było zrozumieć słowa, jakie wypowiadał. Tak jak dzisiaj, szczególnie wśród młodych ludzi w serialach, którzy za szybko mówią i przez to niewyraźnie. Myślałem nawet, że na starość przygłuchłem, ale nie. Oczywiście nie trzeba mówić tak wyraźnie jak w teatrze, gdzie głos musi dotrzeć do ostatniego rzędu, ale jednocześnie nie można bełkotać.
— Tak samo jak w piosenkach.
— No właśnie, widz musi słyszeć i zrozumieć to, co aktor mówi.
— Jak pan przyjął uwagę Załuskiego?
— Wziąłem ją sobie do serca. Na dobrą sprawę ak-

torstwo jest dobre albo złe. Dobry aktor odnajdzie się i w teatrze, i w filmie, tylko innych środków musi użyć. Jeżeli jest zbliżenie kamery, to nie trzeba aż tak wyraźnie artykułować, można mówić trochę subtelniej, tak zwaną prawdą kamizelkową, o której w szkole często mówił profesor Aleksander Bardin. Trening czyni mistrza, bo przecież inaczej będzie pan mówił Szekspira, inaczej Fredrę, inaczej polski repertuar romantyczny, a inaczej „Moralność pani Dulskiej”. Brzmi to może paradoksalnie, ale tak jest. Z „Dziewicami i mężatkami” również nie było łatwo, bo tekst przetłumaczył Tadeusz Boy-Żeleński, a reżyser nie chciał, żebyśmy zachowywali jakoś rygorystycznie schemat wiersza. Chodziło mu o przekazanie intencji i bardzo trudno uciec od melodii, a zachować tę intencję. To takie szczegóły warsztatowe.
— Nad „Bandą” nie będziemy się więc rozwodzić, chcę tylko wspomnieć, że w tym filmie zagrał też Henryk Bista, z którym pracowaliście razem również w gdańskim teatrze Wybrzeże.
— Henio był specyficzny, wyrazisty gestem i słowem.
— Z Gdańska przeniósł się pan do Teatru Narodowego w Warszawie, skąd na krótko trafił do teatru w Lublinie. Został pan wygnany?
— Sam siebie wygnałem, bo nie mogłem się porozumieć z Adamem Hanuszkiewiczem, nowym dyrektorem Narodowego.
— Wszystko przez słynną aferę z „Dziadami” Mickiewicza w 1968 roku, w których pan zagrał. Kazimierza Dejmka odwołano ze stanowiska dyrektora i przyszedł Hanuszkiewicz.
— W Lublinie zagrałem trzy duże role i wróciłem do Warszawy, bo dyrektor Hanuszkiewicz mnie ściągnął.
— Czytałem w różnych opisach, że zrobiliście na scenie rozróbę polityczną.
— Tak naprawdę to nie my ją zrobiliśmy, tylko zostaliśmy wkręceni w nią przez ówczesne wypadki.
— Hanuszkiewicz długo musiał pana przekonywać do powrotu?
— Miałem rodzinę w Warszawie, tam się urodziłem



Tadeusz Borowski: Aktor musi mieć w sobie wrażliwość i wyobraźnię.

i wychowałem. Hanuszkiewicz bardzo mnie namawiał, zaprosił mnie nawet na obiad, co rzadko się zdarzało, i powiedział, w czym będę grał. Kiedy już wróciłem, znowu mnie średnio potraktował i ponownie uciekłem. Tym razem na ćwiczenia wojskowe na wschód kraju. Trzy miesiące spędziłem w jednostce karnej, ale poszedłem tam na własną prośbę. A po powrocie zagrałem w „Kardiogramie” i zaczęła się intensywna robota.
— W Lublinie zagrał pan m.in. Lenina w „Szóstym

lipca”. Bez tysej peruki, tylko z bródką.
— Graliśmy ten spektakl bodajże dla robotników z fabryki samochodów ciężarowych. Pytałem ich, czy im nie przeszkadza, że się do niego nie upodabnam wyglądem. Odpowiedzieli, że przecież wiedzą, że Borowski to nie Lenin. Przygotowując się do tej roli, oglądałem mojego starszego kolegę Ignacego Machowskiego, który grał gościnnie w jakimś zakładzie pracy. Siedziałem w pierwszym rzędzie obok kierownika

DLA PANIENEK Z DOBREGO DOMU



I grubą skórę, bo to zawód dla ludzi o wrażliwości kolibra, ale skórze słonia. Szybko można się wykopyrtnąć

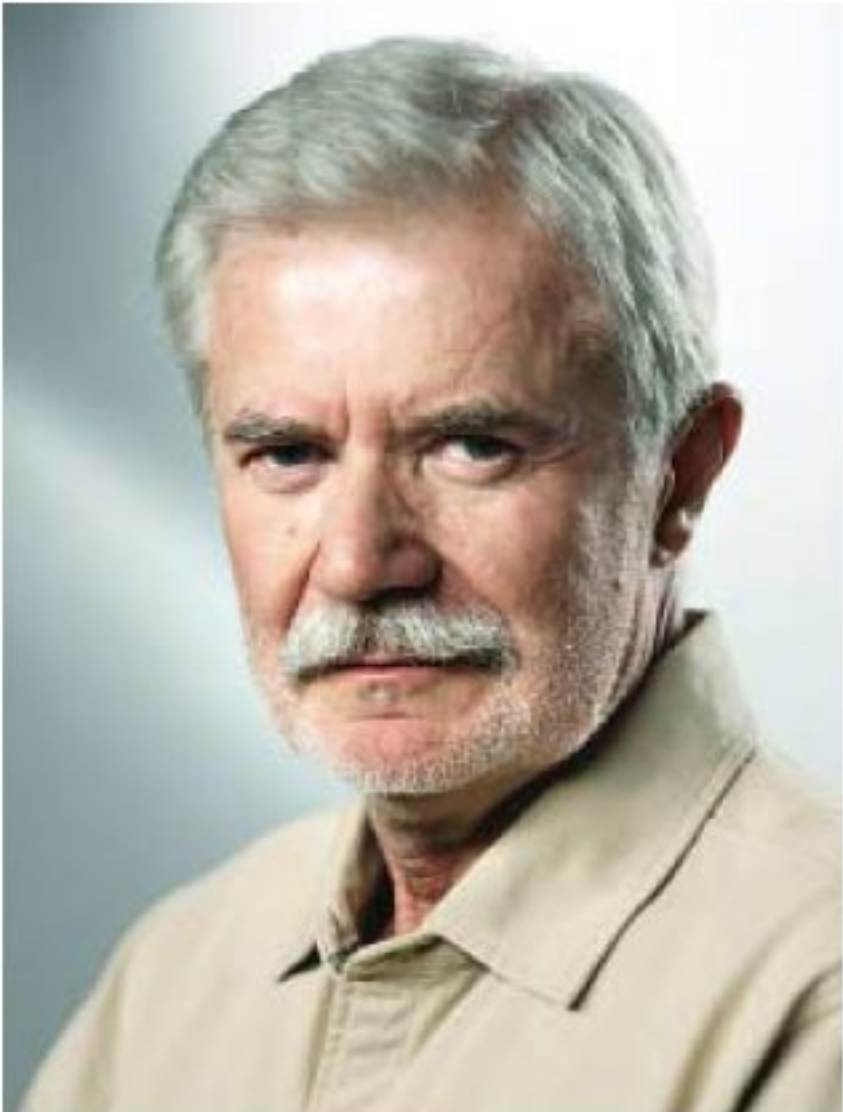
tego zakładu. Machowski wchodzi na scenę, wykapany Lenin. I ten kierownik mówi do swojego kolegi obok: „Bardzo dobrze, towarzyszu, podobny jak cholera”. Nie chciałem pójść w tym samym kierunku.
— Ciekawe, czy dzisiaj publiczność przyszłaby obejrzeć Lenina w teatrze?
— Trzeba byłoby się przekonać, bo dzisiaj widownia jest wyrafinowana.
— I przychodzi do teatru od wielkiego dzwonu?
— W Ateneum nie możemy narzekać. Gram w „Kolacji

dla głupca” Francisa Vebera od 15 lat. Pełne sale. Osiem lat gościnnie gram też w Syrenie w „Pajęcznej sieci” Agaty Christie. Też pełne sale. Wszystko zależy od tego, co sprezentujemy publiczności.
— Czyli jest pan warszawianinem z dziada pradziada?
— Z Powiśla.
— To jak to było z tym przypadkiem, który sprawił, że zdawał pan do warszawskiej PWST?
— Zastanawiałem się, kim chciałbym być. Chciałem zostać strażakiem, a mamusia, żebyś został księdzem. Po-

wiedziałem jej, że raczej nie, bo interesują mnie dziewczyny. To tak wracając do pierwszego pańskiego pytania. W młodości poszukiwałem siebie.
— I znalazł pan.
— Aktor musi mieć w sobie wrażliwość i wyobraźnię. I jeszcze grubą skórę, bo to zawód dla ludzi o wrażliwości kolibra, ale skórze słonia. Szybko można się wykopyrtnąć. Ta robota, jak mówił Bardini, to jest rzeźnia, a nie szkołka dla panienek z dobrego domu, bo jednak w psychice się

grzebie dosyć mocno. Nie mówię już o talencie, który jest podstawą.
— I o kolosalnej pracy, jaką trzeba wykonać.
— Ci najwybitniejsi pracowali jak woły. Pamiętam moją rozmowę na temat Tadeusza Łomnickiego z glazurnikiem, który robił mi łazienkę w domu. Mówi do mnie: „Pan aktor, nie?”. Odpowiadam twierdząco. On na to: „Poznaję właśnie. Znasz pan takiego aktora Łomnicki?”. Ja: „Oczywiście, to wybitny aktor”. On: „Panie, ja u niego robiłem łazienkę. Wiesz pan, co on

robił pół dnia? Siedział obok w spokoju zamknięty i powtarzał jedno zdanie. Pół dnia. To wariat, nie?”. Ja mówię: „No, wie pan, niezupełnie”. Bo jak później grał Krappa w „Ostatniej taśmie” i mówił „szpula”, to pan widział, jak ta szpula leci.
— Tak się zastanawiam: w młodości pan pływał, jeździł konno, trenował szermierkę. W wieku 16 lat został pan mistrzem Warszawy w boksie. Dzisiaj mógłby być pan medalistą olimpijskim z olimpijską emeryturą i dobrą posadą w którymś



TADEUSZ BOROWSKI
Urodził się w 1941 r. w Warszawie. Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie ukończył w 1963 r. Pierwszą dużą i jednocześnie jedną z głównych ról zagrał w filmie „Kardiogram” z 1971 r. w reżyserii Romana Załuskiego. Aktor Teatru Wybrzeże w Gdańsku (1963-1966), Teatru Narodowego w Warszawie (1966-1969 i 1970-1972), Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie (1969-1970) i Teatru Ateneum w Warszawie, w którym występuje od 1972 r. Wybrane role w filmie i serialach: „Dyrektorzy” (1975), „Och, Karol” (1985), „Młode wilki” (1995), „Ekstradycja 2” (1996), „Przedwiośnie” (2002). Jest także aktorem dubbingowym.

Źródło: filmpolski.pl.

z polskich związków sportowych.
— (śmiech)
— Jest pan ofiarą sportu?
— Można tak powiedzieć. Boks uprawiałem dwa lata i szczytę się tym dyplomem, ale ten boks wyrobił we mnie charakter. Pływanie, jazda konna i szermierka sprawiły, że kaskaderzy rzadko grali za mnie w filmach. Nie miałem ról, w których wyskakiwałem z okna w płonącej kamizelce, ale sam przechodziłem z pilotówki na okręt. Ucierpiało na tym tylko moje zdrowie, stawy. Ale za to od 40 lat gram w tenisa, głównie debła. Na niedawnych zawodach w Szczecinie doszedłem do półfinału w singlu, ale miałem rok przerwy i naderwałem ścięgna. Oddałem Jankowi Englertowi półfinał z błogosławieństwem na wygraną. I Janek jako najstarszy zawodnik wygrał te zawody.
— Czyli ciepła posada w biurze nie jest dla pana?
— Bez ruchu nie ma życia. Oprócz zawodu trzeba coś mieć. Same bary z alkoholem nie wystarczą, a wielu już się na tych barach przewiozło. Skończyłem szkołę aktorską w wieku 22 lat z wyróżnieniem i pies z kulawą nogą nie zaangażował mnie w Warszawie. Trafiłem do Gdańska, bo tam mnie chcieli. W trzy lata zagrałem 28 ról, a mój kolega z roku, który został w Warszawie, w tym czasie zagrał cztery. Nauczyłem się roli Skąpca Moliera w trzy dni, bo zachorował kolega. Pięć aktów. Miałem warunki amantki i lubiłem grać postaci charakterystyczne. W Warszawie grałem już dziesiątki ról, co było dużym obciążeniem.
— Trzeba więc było odrealnować.
— Byłem młody i chodziłem do barów. Jedno piwo, drugie albo seta. A w nocy trudno zasnąć. Do pięćdziesiątki jeszcze jako tako z tym kacem było, później podziękowałem i dzisiaj okazjonalnie wypiję winko albo piwko po dobrym treningu.
— Tęskni pan jakoś szczególnie za rolami w filmie?
— Nie. Czuję się dobrze i przed kamerą, i na deskach. Wolę jednak pracować w teatrze, bo tam więcej zależy ode mnie. Wchodzę na scenę i odpowiadam za siebie.